

# ORĘDOWNIK

## NAUKOWY.

Spis rzeczy 7go Numeru: „Wyjątki z powieści hist., pod tytułem: Obłężenie Płocka w r. 1097. p. E. Tarszę. — Krrtyka: Obraz bibliograficzno-historyczy literatury i nauk w Polsce. Wystawiony przez Adama Jochera. Tom I. Wino 1841. — Nowiny literackie.

**Wyjątki z powieści historycznej,  
pod tytułem: OBŁĘŻENIE PŁOCKA 1097.**

przez **Edwarda TARSZĘ.**

(Dokończenie.)

### III.

#### S z t u r m.

Rycerstwo królewskie mogło być wzięte pomiędzy ogień, a nieprzyjaciela. Należało wyrzec się obrony miasta, zostawić je na łup ognia i dzicy Zbigniewa, a samym cofać się co prędzej za następne warownie i mury zamku. Nie łatwo jednak było ściągnąć wszystkie poczty rozstawione nie dawno po wałach; nie łatwo było utrzymać porządek w tém odwrócie. Zaledwie dowiedzieli tego Sieciech i jego wodzowie najdoskonalszą sprawnością i niezachwianą odwagą. Mieszkańcy także bezbronni, kobiety, dzieci, cisnęli się do zamku; lecz nieprzyjaciel tak srodze ich ścigał, że, ażeby wraz z szukającymi schrony, nie wpadł we środek, musiano

spuszczeniem bron i podniesieniem mostów, nie tylko przeciąć ucieczkę znacznej części Płockiej ludności, ale nawet w tyle znajdującemu się królewskiemu rycerstwu. — Szczęściem, że wiatr nie pędził na zamek, bo byłby uległ tej samej, co i miasto kolei. Za cofnięciem się wojska obrońców, doznało ostatnie całej okropności zemsty dzikiego i mściwego nieprzyjaciela. Nieszczęśliwi zostawieni w tyle, przeciągnęli jeszcze czas jakiś rozpaczliwą bitwą. Tu i owdzie kupa ludzi królewskich, albo przywiedzionych do rozpaczliwych mieszkańców, broniła się przeciwko dzikiej tłuszczy, która opanowała miasto. Zdradzeni od losu, starali się przynajmniej drogo przedawać życie, z przyrodzoną do ostatka wytrzymałością rodowitych Mazurów; lecz wkrótce pochłonięci zostali od liczniejszego nieprzyjaciela. Wszelki opór ustało; rozpoczął się bezpieczny mord, gwałt i rabunek. Choć noc nadeszła, przy blasku gorejącego gradu, mogliby znajdujący się w zamku (gdyby ktokolwiek z nich śmiał oczy obrócić na nieszczęśliwe miasto) widzieć czyny najsroźszej dzikości rozjuszonego żołnierza, któ-

rych bynajmniej nie hamował ich ksiązę. Tam rzucano zgrzybiałego starca w płomień jego własnego domu; gdzieindziej wyciągano z ognia, w który się dobrowolnie rzuciła niewiasta, zachowując ją na obelżywsze obejście się. Kiedy nakoniec noc nastąpiła, wiatr ustał i przygasł pożar, kiedy jęki przygluchły, zaczęła dochodzić do zamku nowa wrzawa, wrzawa godującego go orszaku. Rozlegały się w tej strasznej nocy ustawiczne okrzyki pijanych biesiadników na stanowisku ksiązęcém; słycać czasami było przeraźliwy krzyk niewieści; grała jakby w dzień najradośniejszy muzyka surmaczy i trębaczy jego nadwornych, i ten zgiełk bezbożny, trwający do samych gwiazd porannych, zdawał się umyślnie posyłać ksiązę do uszu królewskich, jak gdyby oznajmując, że się raduje z jego klęski, rozkazuje myślą, że jutro go do ostatka dokona, daje przeczuć, jak się z jego siwemi włosami obejdzie.

W zamku była grobowa cisza trwógi i rozpacz. Stary król upadł zupełnie na umyśle na widok zapamiętania i bezbożności Zbigniewa. Rycerstwo nie pokonane, ale zawiedzione od losu, zamykało w sercu i gniew i wstyd, na jakowy czuło, że nie zasługuje. Nieszczęśliwi Płocczanie, którzy unieśli życie, ale zostawili w mieście dzieci, rodziców, krewnych, przypadali twarzą do ziemi, gryzli piasek w nieukroconej żalości, tłumili gwałtem niepomocne krzyki żalu i rozpacz. Okropna obecność zagrożona była straszniejszą przyszłością; widomie wiał po zamku zimny wiatr strachu i przerażenia, i choć napelniony ludem, nie miał, zdaje się, po mierze dzikiego wrzasku, dochodzącego go od miasta.

Młody książę Włodzimirski, wróciwszy z tém wojskiem, któremu nagłe niepowodzenie odebrało zaszczyt całego dnia męztwa i wytrwałości, udał się do skrzydła, które w zamku Płockim księstwo, jego rodzice, zajmowali, żeby ich w niespokojności o sobie nie zostawiać, a po krótkim z nimi widzeniu, oddalił się na wały zamkowe dla

zajęcia stanowiska, które bymu na nich zostało powierzone. Żołnierz znał dobrze niestałość wojennego szczęścia, ale nigdy nie uczuł tak dotkliwie okropności przegranej, jak dzisiaj, kiedy jęki skutki zagrażały tej właśnie, od której chciałby wszelkie nieszczęście i wszelki nawet niepokój odwrócić. Przechodząc w zasmuceniu ciemne dziedzińce zamkowe, spojrzenia jego mimowolnie szły w tę stronę, gdzie, mniemał, że jest teraz królowna Wanda przy swoim stroskanym ojcu. Zaledwie jednak zwrócił tam oczy, postrzegł, że ktoś naprzeciw niemu spieszy. Była to kobieta i nie mową, lecz znakiem wskazywała, żeby szedł za nią. Zdziwiony, ale posłuszny, poszedł za tém wezwaniem. Poznał od razu swą przewodniczkę; zastał ją w orszaku królowny Wandy; później przez tydzień blisko nie spotykał ję w zamku; przed kilku dniami ukazała się znowu, a i to w czarnych żalobnych szatach, a ksiązę słycał (mało na to zwracając wtedy uwagi), że nosiła je po stracie ojca, jednego z pierwszych magnatów krajowych. Lekkim krokiem dziewczyna powiodła księcia wprost ku głównym gmachom królewskiego pałacu, potem przez lewy kryty krużganek, w tym znalazła ukryte drzwiczki, któremi, gdy wszedł za nią ksiązę, ujrzał się w małym, na kilkanaście kroków ogróju, ze trzech stron opasanym wyniosłemi budowlami dworskimi, ze czwartęj od Wisły, ścianą prawie prostopadłego brzegu, żelazną ogrodzonego kratą. Było to ustronie, gdzie nawet nie dochodził zgiełk zdobytego miasta.

Pomimo szarego zmierzchu wieczornej doby, ksiązę ujrzał królownę polską, siedzącą na kamiennęj ławce pod otwartem oknem pokoju, a przed nią stał człowiek nie wielkiego wzrostu, ubrany w obuwie lipowe, obwiązane do pól kolan rzemiennemi paskami, w góralskie spodnie, krótką siermięgę, kapelusz piórkami dzikiego ptastwa natkwiony; miał koleczan z pękem strzał na plecach, a opierał się na luku, tej samej prawie co wzrost jego wielkości. Ksiązę nie śmiał

oczu podnieść na królowę po dnia dzisiejszego nieszczęśliwym wypadku; ona pierwsza przemówiła do niego. „Książę,“ rzekła „Bóg nam zsyła niespodziewaną pomoc, czy zechcesz zostać narzędziem jego litości nad nami? ręką, co do nas tę pomoc kieruje?... Mów dobry człowieku,“ dodała, obracając się do lucznika; „mów, kto jesteś i zaczem przybywasz; to jest książę wielki i rycerz znakomity, o którym ci mówiłam!“ Lucznik odpowiedział: „„Jestem z narodu strzelców, których wy od obowią, które nosimy, nazywacie kurpiami. Mieszkamy nad Wisłą, a Narwią, a Omulewem. Ta biała dziewczucha, która was przywiodła, córka Wielkiego Jastrzębca, nazywanego u was kniazem kurpiów, kiedy była wśród lasów naszych na pogrzebie ojca, co odszedł do swoich ojców, siedząc za stołem stypy żalobnej, płakała przed nami i rozповідаła krzywdy, co cierpi wasz król od synów swoich i jak w tém waszym Plocku boją się kobiety, a mężczyźni gotują do obrony, kiedy młode orlecia na starego Białego Orła nalecą i zechcą zabić tego, co im dał życie. My radzili naszój dziewczusze, żeby została pomiędzy nami, lecz ona się uparła i powróciła. Żał nam się zrobiło córki stu Jastrzębców, wodzów naszych odwiecznych! A nuż ostatnia tój krwi kropla zatraci się wśród głupich klótni mazowieckich!... Zaczęliśmy gadać pomiędzy sobą, chodzić od drzewa do drzewa, od męża do męża, i radzić. Choć więc nie lubimy Mazurów i w sprawy się ich nie mieszamy radzi, zgodziliśmy się, żeby strzałami naszemi przepłoszyć niewdzięczne pisklęta, kiedy szarpać własne gniazdo przylecą. Za wschodem ósmego księżyca po pogrzebie, zebrało się nas siedemset męża na głębokiej dolinie, ale ztamtąd nie uspieliśmy wczas nadciągnąć. Wasi goście rozgościli się już w pół doma. My umiemy wojować w polu i w lesie, ale nie znamy waszych zamków i szturmów. Trzeba więc nam wodza, coby nas powiódł. Jeżeli zatem jesteś ten, którego na to wybrały te dwie dziewice (a dziewice lepiej znają, ko-

go wybrać, niż kapłan, a nawet wróżbita), chódź więc za mną, pokażesz nam drogę, po której stawiać kroki i cel, do którego mierzyć, ... resztę zdaj na nas!“ „Gdzież są twoi towarzysze,“ zapytał książę, „jak się tutaj dostałeś?“ „Książę,“ rzekła towarzyszka królowny, „temu człowiekowi możesz bezpiecznie zaufać. Łatwiej znaleźć kruka białego, jak zdradę w sercu kurpika. Spuść się także, że ciebie wyprowadzi z zamku i z miasta, choć może drogą, do jakiej nieprzywykłeś. Dzieckiem jeszcze wzięta byłam do tego zamku, w pół dobrowolnie, w pół przemocą, jako zakładniczka spokojności ludu mojego ojca. Ten dobry strzelec często przynosił mi ukradkiem miłą wieść od rodziny; nie jeden i nie dwa razy dostawał się na miejsce, gdzie teraz jesteśmy, wdzierając się na ten urwisty brzeg Wisłany; na ten brzeg,“ dodała „z którego teraz, kiedy o tem myślę, nie wiem w rzeczy samej, jak tobie okutemu w zbroję żelazną spuścić się przyjdzie?... „O to najmniejsza troska!“ powiedział książę. „Książęta Ruscy tak mało chowają się w puchu, jak i najzuchwalsi łowce po twoich lasach. Pancerny tak mało rycerzowi zawadza, jak luska rybnie. A teraz“ rzekł, obracając się do dzikiego strzelca: „nie mamy zapewne czasu do stracenia? jam gotów.“

„„Dobrze,““ odpowiedział strzelec; „strzał najpewniejszy, kiedy się długo nie mierzy, jakbyśmy się nie starali; a i tak przed pół nocą nie będziemy wśród naszych. Jeżeli jednak masz kogo, komuś słowo chciał przekazać i uścisk dać ostatni na przypadek śmierci? idź, pożegnaj się jeszcze, bo udajemy się nie na tańce pod dąb zielony puszczy!““

„Nie,“ rzekł książę, pomyślawszy trochę. Nie. Ażebyśmy co pomogli, potrzeba tajemnicy, tajemnicy, głębokiej. Niech zostanie pomiędzy tymi, co wiedzą już o niej, a nie szerzy się dalej!“ „„Jesteś mąż,““ zawołał strzelec; „wódz, jakiego nam trzeba!““ „Pani,“ rzekł książę, schylając się przed królową; „dzięki

niechaj ci będą, żeś wspomniała sobie o mnie w tej potrzebie. Idę pełen otuchy i zaufania, że odpowiem twemu zleceniu . . . albo nie stanę drugi raz przed tobą z tym czołem nieśmiałym, jak w obecnej chwili. „O książę,“ odpowiedziała królowna głosem drżącym, a twarz jej była tak blada, że pomimo cieni wieczornych, świeciła w nich jak księżyc na nowiu. „O książę, dobrzeż ja robię, narażając ciebie na takie niebezpieczeństwo? zasłaniając nas nieszczęsnych życiem twojem drogiem dla tylu osób, . . . gdzie tam? . . . dla tylu narodów, które w tobie widzą obrońcę Chrześcijaństwa i Rusi, jakim i do tej pory już byłeś!“ „„Nie mów tego księżniczko,““ przerwał jej mowę; „„nie psuj szczęścia, które w mém sercu czulem, myśląc, że w chwili niebezpieczeństwa wybrałaś mnie, ażebym cię zasłonił. Życie moje? ono do ciebie dawno należy. . . Nieśmiałem ci tego powiedzieć; . . . wyrывa to się teraz z ust moich. Poniosę z radością życie za twego ojca, tak laskawego, za ciebie, coś nie pogardziła nędznym tulaczem, zawierając jego poświęceniu. Sto razy za was chętnie umrę; lecz nie, nie umrę; przeczuwam, że się doba wypogodzi. Mogłaś powierzyć wyprawę tej nocy tylu innym, i wspomniałaś o mnie, któryby umarł z zazdrości, gdybyś to była na kogo innego zdala! Jestem szczęśliwy, dumny, jakim nigdy przedtem nie byłem; puszczaj mnie; niech idę z nadzieją, z pewnością zwycięstwa, jaką ty we mnie wlałaś!““ „Idź więc!“ rzekła królowna, powstając z lawki i w swą kolej przejęta zapalem młodzieńca; „idź! niech cię Bóg prowadzi, niech jedyna prawdziwa Królowa tej korony, Matka Najświętsza, Wojciech Święty osłonią ciebie! Jeżeli modlitwy z głębi serca idące, jeżeli (nie taje się więcéj,) jeżeli miłość niewinna, są śród bitwy puklerzem, będziesz nieranny. Idź! zostaje tutaj me ciało i ręce złożone do Boga, ale myśli moje pójdą za tobą. Jeżeli wrócisz szczęśliwie, ręka moja nie będzie nigdy należeć, tylko do tego, co mnie wybrał w czarnych dniach

niedoli i niebezpieczeństwa; jeżeli zginiesz, niewinną za obcych ci przed chwilą ludzi ofiarą, połączymy się jeszcze łatwiej i prędkiej w tej krainie nieśmiertelnej, gdzie rządy ludzkie wiecznego pokoju nie mieszają. Tam dusza moja utęskniona pójdzie za tobą;“ to mówiąc, podała rękę klęczącemu unóg jej rycerzowi, a podczas, kiedy ją okrywał gorącym pocałunkim, prawą robiła znak krzyża świętego nad jego głową, wymawiając wewnętrzną, ale strzelistą modlitwę.

Kniaź Roman powstał, skinął na strzelca, że czas się oddalić, a kiedy ten pierwszy przeskoczył żelazną kratę, przedzielającą od strony przepaści, poszedł bez wahania się za jego przykładem młody Rusin, i pod czas, jak dwie kobiety schylały się nad poręcz, patrząc ze stłumionym od bojaźni w piersiach tchnieniem, oni to czepiając się za rosnące w szczelinach krzaki, to opierając nogi na wystające gdzieniegdzie węgły i zalomy urwiska, dostali się nad samą rzekę i znikli z oczu w zaroślach jej brzegu.

Kiedy stanęli nad samą wodą, łucznik rzekł do kniazia: „gdybyś nie był odziany w tę ciężką zbroję, najbezpieczniej byłoby dla nas rzucić się w rzekę i przepłynąć tę przestrzeń na kilka strzałów z łuka, którą nam wzdłuż miasta przebywać przychodzi. Ale nie ma co robić; isć trzeba brzegiem; noc ciemna, a luna, co bije od pożaru, jeszcze gęstszym cieniem ten pusty brzeg omracza.“ Szli więc, chowając się ostrożnie pod krzaczyste zarośla, wszędzie brzeżące Wisłę i czasami przez wysep piaszczysty, czasami brnąć po kolana w mialkiej brzegowej wodzie. Tam było najniebezpieczniej, gdzie wały miejskie dotykały Wisły i wlewały się w nią otaczające je fosy. Według wszelkiego podobieństwa, nieprzyjaciel tam strażę obstawił; nie było ich jednak; rabunkowi oddane żołnierstwo, nie przedsięwzięło żadnych wojennych ostrożności. Książę Roman i jego przewodnik, obadwa to zauważali. Zmoczeni więc, zmęczeni, ale bez innej przeszkody ujrzeni się za obwodem Plocka, i spieszniejszym krokiem zaczęli postępować ku

otaczającej go puszczy. Doszedłszy pierwszych drzew boru, kurp świsnął, świst podobny odezwał się trochę głębiej i wkrótce ujrzeni konia, przywiązanego do sosny, którego pilnował tak samo odziany i uzbrojony łucznik, jak ten, który był przewodnikiem księcia Romana. Widok konia nie wydał się przykry dla ostatniego, zmęczonego całodzienną bitwą i niezwykłą pieszą wycieczką. Na wezwanie swojego towarzysza, siadł na osiodlanego rumaka, lecz wtedy zapytał, gdzie jest koń drugi dla jego przewodnika? „Nigdy,” rzekł łucznik, kurp nie jeździ na koniu; miałby wjeżdżać na sosny, na których barcie chowa? Wiedząc jednak, że w żelaznej zbroi ciężiej chodzić, jak w obuwiu z kory lipowej, przywiedliśmy to dzielne zwierzę ze stajni Wielkiego Jastrzębca, dla naszego przyszłego wodza. Sambym na nim jechać nie umiał, dla tego jednak, żebym ci mógł pokazywać drogę, pozwolisz, że teraz uczepię się za tobą, chociaż uznaję, że odważam się na to dla nagłej potrzeby i nie bez obawy zamienię moje dwie nogi za jego cztery; to mówiąc i za pomocą podanej sobie dłoni rycerza, wlaźł na konia, umieścił się za plecyma jego, a położywszy łuk swój ogromny między sobą a księciem, oburącz chwycił się ramion dla niestracenia równowagi. W tym stanie zapuścili się w las rzadki, drogę, którą łucznik wskazywał, a ten, który dla nich strzegł konia, został porzucony, bądź, żeby w tym miejscu doczekiwał się ich powrotu, bądź też, żeby pieszo powrócił do obozowiska swych ziomek, bo wrodzony niejako kurpiom instykt kierowania się po najgłuchszych puszczech, nie zostawiał obawy, żeby się obłąkał.

Tymczasem mieszkańców królewskiego zamku Płockiego zgromadziła godzina smutnej wieczerzy. Zasiadli do niej bez chęci brania posiłku król, królowa, oboje księstwo Włodzimirscy, Sieciech i inni zwykli stołownicy królewscy. Spoglądali jedni w twarz drugich, jak gdyby chcieli odgadnąć, wiele wszystkim zostaje jeszcze nadziei i odwagi; liczyli się, czy dzień

ten srogi nikogo z pomiędzy nich nie zabral. Pierwszego króla uderzyła nieprzytomność księcia Romana. „Gdzie młody książę?” zawołał, i później czując zapewne, że jego zapytanie mogło sprowadzić straszną dla księstwa Włodzimirskich odpowiedź, zwrócił na nich niespokojne spojrzenie, nie powtarzając pytania. Ale księstwo zdawali się być spokojnemi. „Był u nas,” rzekła księżna; „po ustaniu szturm i oddalił się na wały.”

„Szukano go wszędzie,” rzekł ktoś ze służby pałacowej, „ale napróżno.” „I ja go szukałem,” powiedział Sieciech, „chcę mu powierzyć jedno z głównych stanowisk, bo trzeba przyznać, że mężnie sobie dnia dzisiejszego postępował. Mówiono mi jednak, że widziano przechodzącego zamkowe dziedzińce w zupełnym uzbrojeniu rycerskim. Kto wie, czy nie biesiaduje w tej chwili za weselszym, niżeli nasz, stołem? Nie nowa rzecz podobno pewnym księstwom zmieniać stronnictwo,” dodał ze zwyczajem sobie dumnym i posępnym uśmiechem. Ten półuśmiech powtórzony na licach wielu z przytomnych, dowiódł, że podejrzenie Sieciecha łatwo wiarę znalazło. Nie śmieli się odezwać z obroną syna ani książę, ani książkowa Włodzimirscy, nie pojmując w istocie, gdzieby się podział, a może czując w duszy, że gdyby zrobił to, o co go posądzono, zrobiłby co najpożyteczniejszego dla nich i interesów rodziny. Na twarz tylko królowy wystąpił płomienisty rumieniec, oczy jej napelnily się łzami i żeby ukryć swe pomieszanie, utopiła spojrzenia w pozłocisty talerz, który był przed nią. Nie uszło to uwagi ojca, spojrzał na nią uważnie, z zadziwieniem, powtórzył znowu to długie spojrzenie, i wtedy, jakby zgađując, co się dzieje w tym młodem sercu, uśmiechnął się smutnie i rzekł: „Alboż mielibyśmy za złe księżęciu Romanowi, żeby to wiedział, iż lepiej czcić wschodzące słońce, niż to, które już na pół w chmury zaszło. Wojewoda nasz krakowski przyznaje, że mężnie cały dzień walczył; wypełnił zatem czyn rycerski

jaki się po jego szlachetności należał; bardzo godziwie może w swą kolej o sobie myśleć. Ani on, ani zaci księżęta, jego rodzice, nie przybyli tutaj, żeby nasz pogrzebowy obchód uświetnić, ale dla zyskania polskiej pomocy dla praw swojej rodziny. Nie sam on zapewne przeczuwa, że władza królewska z rąk niedołężnych w młodsze i dzielniejsze przechodzi; od synów moich zależeć będzie rząd tego państwa, los moich drugich dzieci“ (to wymówił z przyciskim), sąd księstw i książąt hołdowniczych; słusznie więc ten poczyną, kto ich dla siebie stara się zjednać zawczasu.“ To przemówienie królewskie zamknęło rozmowę. Widząc, że siedzą u nietkniętej wieczerzy, powstali smutni stolownicy i zaczęli się rozchodzić, a kiedy księżniczka Wanda poniosła do ust rękę ojcowską, uczuła, że stary król ścisnął ją czulej, niż kiedykolwiek. Zrozumiała ten niemy znak spółczucia i przenikniona dobrocią ojcowską, wyszła z komnaty, żeby spłakać wezbrane uczuciami łono. Cisza była przez resztę nocy w zamku; wrzawa za wałami.

\* \* \*

Przejeżdżając jednostajne pustynie boru, łucznik wszczął ze swoim towarzyszem rozmowę: „Rycerzu, czy kniaziu,“ rzekł, „sądząc po mowie, zdaje mi się, że nie musisz być Mazurem?“ „„Nie jestem nim,““ rzekł książę; „„jestem Rusin.““ „Rusin!“ powtórzył strzelec. „Byłem w waszych krajach. Włókł tam nas za sobą dawniejszy Orzeł Biały, którego Lachy nazywali Bolesławem Śmiałym. Ludzie jak i u nas, ale kraj dziwny! Kiedyśmy pominęli Bug rzekę i miasto, co nazywają Łuckiem, a weszli na wielkie nieobejrzane równiny, ja i moi towarzysze, nie umieliśmy chodzić po tej ziemi bez lasu. Głowa nam się kręciła od tego dalekiego i siniego widoku; zdawało się nam, że nas kto zarzucił w powietrze. Umarłbym z tęsknoty, gdyby mi tam żyć przyszło! Dziwnyć to był człowiek ten Bolesław Śmiały; nie

podobny do dzisiejszego króla. Z jednego gniazda nie jednakowe wyleciały pisklęta. Tamten to był orzeł prawdziwy! Drapieżny, ale szlachetny; rozkosz go było widzieć w bitwie; czysty sokół, gdy goni stada przelękłych gęsi. Otóż zmarł nędznie; roztoczyło go to czarne mrówie, które nazywacie . . . . Śladu nie zostało po tym, co bił żelazne słupy na znak, gdzie swoim mieczem dosięgał.“ „„Alboż wy kurpiowie nie jesteście chrześciance?““ zapytał książę zdziwiony małym uszanowaniem, z jakim się jego towarzysz o duchowieństwie odzywał. „Jesteśmy chrześciance;“ rzekł, jeszcze ojcowie naszych ojców przekonali się, że Czernobóg i Lado i Nija, są duchowie ęmy, tylko diabły, a że prawdziwy Bóg jest Syn Maryi, który umarł na krzyżu. Ojcowie nasi ochrzcili się w wodzie Narwi; my dzieci nasze nosimy chrzcić do kościoła, stawiamy krzyże nad umarłymi, chodzimy co rok do klasztoru, który na Ostrołęce zbudowali sobie mnichy, przyznawać się do grzechów, które znamy do siebie, i słuchamy cierpliwie, jak nam wtedy wymyślają i złorzeczą; lecz zresztą, nie cierpimy bardzo blisko siebie tego księżego rodzaju, który ma oczy łakome. Na co mają wypatrywać wszystkie pnie, pasieki i zapas z potem czoła, nagromadzony na zimę, żeby z nich swoje dziesięciny wybierać? Daliśmy im zbudować kamienne gniazdo na Ostrołęce; więcej ich w lasach naszych nie znosimy, i nie raz przyszło już o to między nami a ich gorliwymi opiekunami Mazurami i drugim Lechy, do strzał i luków. Zresztą naród ten księży, szczególnież zawzięty na naszych znachorów i wróżbit, którzy potrafią w to, żeby nasze strzały szły zawsze do celu, żeby dziecięcia zgubionego, bydłęcia obłąkanego, zwierz w puszczy nie skaleczył, ani pożarł. Lecz jeżeli na kogo są w gniewie, dużo złego nasłać na tego mogą. Czy to się dzieje za pomocą diabłów, których nasi przodkowie za Bogów mieli? Co nam do tego! Boga nie gniewaj, diabła nie obrażaj, to w lasach naszych

zdaje się nam najbezpieczniejsza.“ -- Książę, chociaż nie wielki teolog, zrozumiał, że jego towarzysz jest na wpół poganin i uczuł pewien gatunek skrupułu, zaledwie nie obawy jeździć po nocy i po boru, z człowiekiem takiej wątpliwej wiary. „„Do kogo przecie należycie?““ zapytał łuczniaka. „„Myślałem, że po tej stronie Wisły, ciągną się jeszcze szeroko dzierzawy polskie uleglejszego panowania, jak Prusy i Pomorze. Wy czyj jesteście?““ „„Czyj?““ rzekł zdziwiony strzelec, „Boży i swój. Wprawdzie Lachowie rozpowiadają, że lasy, gdzie my polujemy i rzeki, w których ryby łowimy, należą do dziedzictwa Orla Białego; ale, ponieważ nam w jednym ani w drugim nie przeszkadzają, nie szkodzi nam to i nie kłócimy się o to. Bywa, że kiedy król u nich sroższy, jak był ten Bolesław Śmiały, o którym wspominałem, ręka jego sięga i do nas. Wywodzi naszą młodzież na wojnę, a wodzów ściga na dworzec, niby to jak gości, a niby jak zakładników; lecz młodzież podoba sobie w wojaczce, z której łupy przynosi, a wodze zasmakowują w białym chlebie królewskiego stołu. Gdyby nie poduszczania księży, o jakich ci mówiłem, żeby nas gwałtem ciągnąć modlić się Bogu w kościele, wtenczas, kiedy my lubimy modlić się mu w lesie; byłibyśmy z tej strony spokojni, bo znowu widzisz, że z drugiej niepokoja nas sąsiedzi nasi Prusacy. Ci widząc, że wielkie krzyże stoją przy drogach naszych, napastują nas, jako chrześcian i nienawidzą, żeśmy się wyrzekli diabłów, którym się oni sami tylko jeszcze kłaniają; ale my się z tego wszystkiego śmiejemy, póki mamy z czego łuk wygiąć, cięciwę naciągnąć, strzałę napierzyć i zatruć!““ „„Macie jednak panów. Wspomniałeś o kniaziu, jakimś wielkim Sępie, czy wielkim Jastrzębcu, ojcu dziewicy z orszaku królowny polskiej.““ „„Ach,““ rzekł łuczniak; „chcesz mówić o wielkim Jastrzębcu, nie wielkim Sępie (wbij mocno to sobie w pamięć, bo mówiąc o tem z kurpiami, możesz, choć jesteś nasz wódz na chwilę, opłacić

krwią myłkę języka). On był tylko, głową naszego rodu. Mają to sobie przekazane kurpiowie od ojców, że przodkowie wielkiego Jastrzębca przewodzili im w wielkiej drodze, którą odbyli z dalekiego kraju, nim zajęli te lasy, które dziś posiadają. Otoż dla tego krew tych wodzów w wielkiej u nich czci, poważaniu. Od czasów odwiecznych przodkowie dzisiejszych kurpiów, zbudowali wielki gmach wysoki i rozległy z najczystsze go ci su, gdzie wszyscy żyli do ostatniego. Część zwierzyny, część ryby, część miodów tam znosimy, żeby mieli z czego żyć dostatnie i swoich mężów przyjmować hojnie.““ „„Wódz wasz nie zostawiłże potomstwa płci męskiej?““ „„Nie, jedną tylko córkę, którą zostawiliśmy w zamku. Oto wiesz co, jeżeliś nie żonaty, zaślub tę dziewczuchę. Przyjdiesz żyć z nami w gmachu nad Omulewem. Nię zabraknie ci niczego. Lecz, „dodał po chwili rozmysłu, o ile widziałem, wolisz podobno plemię Orle, jak plemię Jastrzębców, choć i to ptastwo nie niskiego lotu. Nie ma co ganić, serce nie chodzi do nikogo po radę.““

Wielki płomień rozbłysły między drzewami, ostrzegł, że dochodzili do stanowiska strzelnej gromady . . .

## K R Y T Y K A.

**Obraz Bibliograficzno-Historyczny**  
literatury i nauk w Polsce. Wystawiony przez *Adama*  
*Jochera*. Tom I. Wilno 1840.

Do największych i najużyteczniejszych przedsięwzięć naukowych, jakie kiedykolwiek na ziemi naszej dokonano, należy dzieło, o którym w artykule niniejszym słów kilka powiemy. Z samej już natury swojej zasługuje ono na pilną uwagę publiczności polskiej. Mając bowiem objąć wszelkie pomniki naukowe kilkowiekowego życia narodu, powinno być dla Polaka świętą niejako księgą, w którą niechaj często zaziera, aby poznać najdroższą i najtrwalszą puściznę po sławnych przodkach swoich; aby zapatrując się na gmach od nich zaczęty, od następców wspaniale wznoszony, usiłował także przyłożyć się do ukończenia jego, chociażby tylko podaniem jednej cegiełki.

Obrazu Bibliograficzno-Historycznego literatury i nauk w Polsce, mamy już Tom I. przed sobą. Obejmuje na-

stępujące przedmioty: 1. Literaturę i filozofią starożytną, to jest, edycye, przekłady, komentarze i t. d. autorów greckich i rzymskich. 2. Nauki razem wzięte; to jest, dzieła o oświeceniu, historii literatury, bibliotekach, czytelnikach, księgarniach, drukarniach, szkołach i t. d. traktujące, lub jakkolwiek z temi przedmiotami związek mające. Każdą główną gałąź nauki, poprzedza krótki, ale treściwy rys jęj historyczny; w przypisach umieszczone są biografie uczonych, szczegółowe i obszerne opisy dzieł rzadszych lub ważniejszych, spisy treści i t. d. — Z tego już samego wyobrazić sobie czytelnik potrafi ogrom pracy, którą p. Jocher podjął, ujmując rozpieczętnione po tysiącu dziełach drukowanych i rękopismach materyały w jedną porządną i sforną całość i symetrią, i przyznać mu musi niepospolitą zasługę, literaturze krajowej wyświadczoną. Znaczna część tej zasługi sływa także na szanownego wydawcę p. A. Zawadzkiego, który na ogłoszenie drukiem wielce użytecznego dzieła, ozdobnej edycyi i na zakupienie rękopismów po śp. uczonym Soboleskim nakładów nie szczędząc, imię swoje w dziejach typografii polskiej, równie, jak niedgdyś Scharfenbergerowie i Łazarzowie, wstawi i uwieczni.

Ten sam przecież ogrom pracy, naprowadzić łatwo czytelnika powinien na myśl, że i Obraz Bibliograficzny, jak wszystkie utwory ludzkie nie jest bez a le i usterków. Są w nim znaczne opuszczenia dzieł. Przytoczymy kilka ważniejszych, albo przynajmniej rzadszych. Do str. 28. *Hippocratis Coi, epistola moralis, Disputationem Democriti continens Rinutio interprete. Cum epistola Mecoenati in sanitatis conservatiōnem elegantissime conscripta.* Na końcu: *Impressum Cracoviae per Johannem Haelicz neochristianum. Anno Domini M. D. XL.* Svo sig. C. III. Dedykacją Janowi Tarnowskiemu, kasztelanowi krakowskiemu, podpisał Jan Benedykt, lekarz królewski.

Do str. 48. *Marci Tullii Ciceronis eple familiares atque breviores adolescentibus quoq. magis utiles ex toto epistolarum volumine taqua ex eloquecie fonte studiose collecta. Adiunctis etiam epistolaru argumentis vel titulis intehoes ipsarum breviter declaratibus cu numero epistolaru libri cuiuslibet. Additum est preterea Compendiu Isagogicu in epistolaru compositionem per Jodocum badium Ascensiu editum.* (Resztę karty tytułowej zajmują herby, polski, Orzeł, Pogoń, herb miasta Krakowa i zwyczajny znak hallerowski, h małe przekreślone.) Na końcu: *En habes candide lector epistolas familiares Ciceronis easque breviores. Impressas Cracoviae Impensis spectabilis viri Domini Johannis Haller. Anno incarnationis dominice M. CCCCX.*

Do strony 79. i następnych. *Opusculum institutionum poetiarum. ut et hermetis epistolici ad Analysin et Genesin Epistolarum Latinarum viam commonstrantis, Cum*

*duplici appendice. I. De Variatione Styli. II. De orthographia et interpunctione. In usum Illustris Scholae Neo-Bojan. concinnatum opella M. Emerici Fridvaldski ibid. Rect. Lesnae imprim. Mich. Buk. 1684. 8vo str. 28. i 16. dedykacya Bogusławowi Bojanowskiemu i małżonce tegoż, Ewie, dziedzicom Bojanowa. W przedmowie do czytelnika mówi autor o trybie dawania nauk w szkole luterskiej w Bojanowie i o przedmiotach w niej wykładanych. Dziełko dość ważne do historii szkół w Polsce. *Tirocinium Rhetoricum facilem et perspicuam methodum ad Analysin et Genesin Orationum ostendens, Quod in usum Tironum Rhetoricae Fidei suae creditorum adornavit. M. Emericus Fridvald R. Scholae Bojan. Lesnae Imprimebat Mich. Buk. Anno 1690. 8vo str. 54. Dedykacya magistratowi w Bojanowie. (Dokończenie w następnym Nrze.)**

## NOWINY LITERACKIE.

*Z Poznania.* W tych dniach wyszły tu w Poznaniu z druku: „Żywoty sławnych Polaków“ wydane przez Edw. Raczyńskiego.

Wychodzi w Wilnie Noworocznik, zawierający prace literackie księdza *Jucewicza*, pierwsze arkusze już odbite i nadto Eugenia i Edgar, czyli niektóre wypadki wzięte z buntów Chmielnickiego, powieść przez C. z Hofmeistrów *Jaholkowską*, w trzech tomach.

X. A. Moszyński donosi w Tygodniku Petersburskim o dziele: *Filozofia życia* przez *Fryderyka Szlegla* z francuzkiego tłumaczenia X. Guenot, spolszczona przez X. *Debińskiego*, o której nadmieniliśmy już dawniej. X. Moszyński dodaje, iż tłumacz mógł być z oryginału tłumaczyć, a my dodać tu koniecznie musimy: a czemuż tego nie uczynił? Raz przecie powinniśmy zaniechać tych śmiesznych tłumaczeń z tłumaczeń. Któż, proszę, będzie szukał filozofii niemieckiej w tłumaczeniu francuzkiem, chyba ten, co Szyllera z tłumaczenia lub udoskonalenia francuzkiego na polskie przekłada. Tom 2gi tego dzieła drukuje się.

*Z Gazety Porannej.* Warszawa zaczęła rok 1841. następnymi Gazetami treści politycznej: *Rządową*, *Kuryerem Warszawskim*, *Gazetą Warszawską*, *Codzienną* i *Poranną*. Każda z nich, oprócz *Porannej*, złożyła powinszowanie w 1szym Numerze, lecz ze wszystkich tych gratulantów, najbardziej podobał się afiszcer teatrów.

Dzienniki literackie są: *Biblioteka*, *Przegląd*, dwa ostatnie i jeden *Styczniowy Ner*. Piśmiennictwo krajowe 5 *Nrów* arkuszowych, *Ziemanin* *Nrów* 2, *Sylwan* *T. 16. Ner* 2. i 3. *Wiadomości handlowe* i *przemysłowe* *Nrów* 8 i *Wieniec*, *Stetek parowy* i *Mozajka Warszawska*, po jednym Numerze.